# ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. | Niedziela 30 grudnia 1934 r. | Nr. 54


Marjan Reutt

## Sombart o niemieckim socjalizmie

Werner Sombart przez dłuższy czas był swego rodzaju „enfant terrible“ niemieckiej nauki. Gorszył poważnych i beznamiętnych profesorów radykalizmem swoich poglądów, irracjonalizmem i wprowadzaniem do ekonomiki momentów etycznych, które, zdaniem większości ekonomistów, były tam najzupełniej nie na miejscu. Działalność tedy naukowa Sombarta była raczej walką, aniżeli spokojną pracą. Rzecz dziwna, że nie odbiło się to prawie wcale na jego formie pisarskiej. W ogniu polemiki zachowywał zawsze znakomity profesor spokój i równowagę, zrzadka tylko pozwalając sobie na ironję lub cięty dowcip. Cechowała wywody Sombarta zawsze przedziwna rzeczowość, jasność i masa argumentów dowodowych, gromadzona pracowicie latami.

W twórczości Sombarta spotykamy poważną ilość pierwszorzędnych prac naukowych, jak np. „Nowoczesny kapitalizm“ lub „Socjalizm i ruch społeczny“, ale na plan pierwszy wybijają się dwie książki, które tworzą niejako pewną całość, chociaż dzieli je duża przerwa kilkudziesięciu lat.

Pierwsza p. t. „Żydzi i życie gospodarcze“ jest postawieniem zagadnienia, druga p. t. „Niemiecki socjalizm“ (która ukazała się świeżo) — próbą jego rozwiązania. W pierwszej występuje kapitalizm z jego amoralną psychologją egoizmu krańcowego, druga jest reakcją przeciw kapitalizmowi i jego wytworom, jak marksizm, panekonomizm i mamonizm. Ciekawe jest, że książka „Żydzi i życie gospodarcze“, która była właściwie wielkim aktem oskarżenia żydów, jako twórców kapitalizmu, była przyjęta entuzjastycznie przez samych oskarżonych. Autorowi nie szczędzono pochwał. Kapitalizm był u szczytu swej karjery, był w modzie. Dziś zato stronice kapitalnej książki Sombarta nabrały nowego znaczenia. Dzisiaj rozumiemy je już inaczej. One oskarżają. Wskazują winowajcę. Dają obfity, kompromitujący i rzeczowy materjał. Stwierdzają stan faktyczny, ale nie wskazują dróg wyjścia. Drogi próbuje nakreślić Sombart w swej nowej książce „Niemiecki socjalizm“, dając zarys nowego ustroju gospodarczego, opartego o inną psychologję i przenikniętego innym duchem.

### „NIEMIECKI SOCJALIZM“ [1])

„Niemiecki socjalizm“ to próba sformułowania nowego światopoglądu gospodarczego, wyłaniającego się z działalności i walki politycznej. Znajduje w nim wyraz dzisiejsza rzeczywistość niemiecka. Motywem naczelnym pracy Sombarta jest nowy duch, walczący o realizację ideału społecznego. Nowy duch dzisiejszych Niemiec — powiada Sombart — to duch wiary w Boga i w Naród. Duch ten to główna siła dziejowa, realizująca postulaty moralne w życiu. Duch ten to zwycięstwo idei sprawiedliwości i słuszności. Duch ten to przewaga interesów kulturalno-politycznych nad gospodarczemi. Zwycięstwo celowo działającej woli nad ślepemi, żywiołowemi odruchami materji.

Ekonomika musi służyć narodowi. Gospodarstwo jest dla ludzi, dla zaspokojenia potrzeb ogólnych. Egoizm gospodarczy jest niemoralny. Cele gospodarcze nie są celami same w sobie, a zespołem środków, pomagających narodowi realizować jego posłannictwo dziejowe. Celami samemi w sobie są natomiast wielkość i potęga narodu, szczęście ludzkie, prawda i dobro. Tym właśnie celom winno służyć gospodarstwo. O ile im nie służy, nie spełnia swego zadania. Staje się czynnikiem szkodliwym w życiu, gdyż prowadzi do anarchji, do wyzysku jednych przez drugich, do krzywdy.

Poglądy Sombarta harmonijnie rozwijają się na tle życia społeczno-państwowego i kulturalnego. Omawia on całokształt zagadnień, któremi pasjonują się dziś już nie jednostki, ale tworzące historję współczesną masy. A więc rzuca tam Sombart problemy, związane z zagadnieniem t. zw. epoki ekonomizmu, z narodem, państwem i rasą, z życiem duchowem, z kryzysem współczesnego człowieka i t. d. i t. d., dając na wszystko krótkie i lapidarne odpowiedzi. Książka Sombarta pisana z cechującym tego pisarza objektywizmem i ścisłością, odznacza się stylem twardym i imperatywnym. Język żywy, lapidarny, prosty. Jest to niewątpliwie rzecz, która stanowi poważny dorobek ekonomji, filozofji społecznej i literatury niemieckiej. Rzuca pozatem ciekawe światło na mentalność samego Sombarta, który duchowo się nie starzeje. Myśl jego obraca się równie łatwo w chaosie dzisiejszych zdarzeń, jak i dawniejszych. Wzrok widzi jasno i sięga do głębi. Ciekawy i współczesny człowiek.

### CZŁOWIEK DZISIEJSZY

Człowiek dziś, jak również i dawniej, jak zresztą zawsze, będzie głównym czynnikiem rozwoju dziejowego. On i jego pragnienia oraz wiara, jego ideały i dążenia zawsze będą główną sprężyną tego, co tworzy się lub upada. On sięga po władzę w imię realizacji takich czy innych celów. On jest wzniosły, dobry lub podły, zły i okrutny. Epok złych niema, są tylko ludzie źli, jak również niema epok dobrych tylko ludzie są dobrzy w danym okresie. I dlatego niesłusznie mówi się dziś tak dużo o kryzysie gospodarczym, politycznym, kulturalnym, a tak mało o kryzysie człowieka. Ocenia się ujemnie dziś stosunki gospodarcze, lub polityczne, albo kulturalne. Mówi się, że przyczyną złego są te czy inne formy wytwórczości, lub, że wszystkiemu winien parlamentaryzm, albo zła twórczość literacka. Tkwi w tem duże nieporozumienie. Zapomina się bowiem o człowieku. To człowiek dzisiejszy przechodzi największy kryzys, który jest przyczyną całego zła. Kryzys ten, to kryzys człowieczeństwa, to bestjalizacja, okrucieństwo nieludzkie, tem niebezpieczniejsze, że ogarnia ono nietylko ciemne masy, ale i szczyty duchowe.

Liberalizm walnie się do tego przyczynił. Oderwał on bowiem człowieka od społeczeństwa, zamienił go na atom, żyjący we wspaniałej izolacji od innych. Człowiek został pozostawiony sam sobie i nie wytrzymał tej wspaniałej samotności, załamał się, doszedł do całkowitej negacji własnych wartości i zaczął szukać ratunku w kolektywie. Liberalizm zniszczył ponadto autorytety, sprowadzając wszystko do swobodnego uznania niezależnej jednostki. Własne przekonanie pozostawił on w charakterze jedynego kryterjum dobra i zła, prawdy i fałszu. Doprowadziło to do bankructwa człowieka, dla którego nie było już nic bezwzględnego, absolutnego. Rozpanoszył się relatywizm i sceptycyzm. Siły twórcze zaczęły się wyczerpywać.

Sombart, wychodząc z tych założeń, twierdzi: „Najcięższym ciosem, który spadł na człowieka, było załamanie się wiary w Boga, a w związku z tem wyzwolenie doczesnego istnienia spod wpływu czynników transcedentalnych“. Wyzwolenie to pozbawiło życie ludzkie wszelkiego głębszego sensu. Racjonalizm liberalizmu zadał potężny cios temu wszystkiemu, co podtrzymywało człowieka w ciężkich walkach wewnętrznych, zapewniając mu jasne i niewątpliwe wytyczne w drodze ku osiąganiu dobra i prawdy. Człowiek dzisiejszy — wywodzi Sombart — oderwany od natury, zamknięty w wielkich, niczem koszary, miastach, stracił rytm życiowy, przejawiający się w całej pełni jedynie w życiu na łonie natury. Instynkty człowieka zostały zniszczone. Znikło przyrodzone poczucie piękna, rozwijane przez majestatyczny wyraz krajobrazów natury. Szare niebo nad miastem przedziwnie symbolizuje szarzyznę życia w murach wielkiego miasta. Hasłem dnia dzisiejszego jest: „Spowrotem do natury“. — „Spowrotem na wieś“.

Poglądy Sombarta są wymowną ilustracją zmęczenia współczesnego człowieka miastem i nienormalnym rytmem jego życia. „Mówi się zupełnie słusznie — pisze Sombart — że dzisiejsi ludzie cierpią na zanik uczuć ludzkich, że nie uznają żadnego Boga, ani żadnego człowieka, że ich życie i ład społeczny pozbawione są poczucia człowieczeństwa“. Człowiek jakgdyby przestał być sobą. Cały bieg dzisiejszego życia upoważnia do takiego twierdzenia. Ludzie ubożeją wewnętrznie, odbija się to ujemnie na wartościach, które wnoszą do życia społecznego. I rzeczywiście, wywodzi Sombart, jakie nowe pozytywne wartości wniósł człowiek do życia współczesnego? — Komfort — odpowiada z ironją autor „Niemieckiego socjalizmu“. — „W czemże przejawia się ten komfort?“. W oświetlonych elektrycznością ulicach, w podziemnych kolejkach, brudnych i zatłoczonych, w cukierniach, kinach, w pretensjonalnie krzykliwej, bezczelnej i trywialnej reklamie, w tandetnej prasie i lichej książce, w zawrotnem tempie nienormalnie pędzonego życia. Jest tu blichtr powierzchowny i parwenjuszowskie bogactwo. „Staliśmy się „bogaci“, to widzimy wszyscy: tak bogaci w dobra doczesne, — mówi Sombart — jak nigdy nie byliśmy w przeszłości. Ale bogactwo to uczyniło nas niewolnikami naszych potrzeb“. Bogactwo zrodziło wyrafinowanie i żądzę użycia za wszelką cenę. Ono było przyczyną niesłychanej materjalizacji życia, co spowodowało rozkład dyscypliny moralnej. Odbiło się to skolei na organizacji form społecznych, które uległy także rozkładowi. Fundamenty współżycia zbiorowego zostały podważone, a ludzie oddalili się niesłychanie wzajem od siebie. Oto czem płaci ludzkość za wątpliwe szczęście, dawane przez bogactwo.

Dzisiejszy człowiek, dowodzi Sombart, nie ma ani całkowitej przyjemności, ani zupełnej radości, bo wiecznie mu zatruwają życie myśli o jutrze. Dziś niewiadomo nikomu, czy nazajutrz będzie miał co jeść, co wypić i w co się ubrać. Wszystko jest niepewne, chwiejne, a nawet wyraźnie złe. Ludzie dzisiejsi mniej wiedzą i głupsi są poprostu od dawniejszych. „Musimy się zapytać tedy: dlaczego taki Montaigne, Labruyère, Rochefoucault, Goethe, Nietzsche i inni więcej wiedzieli o duchowem życiu człowieka od nowoczesnych psychologów? Dlaczego stary Brehm więcej wiedział o życiu zwierząt od dzisiejszego zoologa? Dlaczego taki Justus Moser lepiej znał życie gospodarcze od dzisiejszego „teoretyka“ ekonomji politycznej?“. „Goethe doskonale wypowiedział to w krótkiem, ale głębokiem zdaniu:—„Dawniej wogóle mało wiedziano, znano jednak więcej prawdy“.

Sombart przypisuje to popularyzacji wiedzy, która pociąga, zdaniem jego, następujące skutki: 1) powierzchowną intelektualizację człowieka, który chwyta pewne wiadomości, nie mając czasu ich przemyśleć; 2) ogłupienie i automatyzacja, gdyż pewne „teorje“ łapie się nietyle dla treści, co dla pewnej demagogji w nich zawartej, dla większej przystępności lub poprostu dla chwilowej mody; 3) frywolizacja wiedzy, gdyż pewne rzeczy wykłada się w sposób lekki w różnych feljetonach, tak że traci się poprostu poczucie doniosłości danego problemu. — „Idealami“, które panują nad nowoczesnym człowiekiem — powiada Sombart — są jak mi się wydaje następujące trzy: 1. Idea zaspokojenia zmysłów, 2. Idea osiągania maksimum szybkości i 3. Idea nowości“. Człowiek więc nowoczesny gubi się w pogoni za wrażeniami, upaja się ogromem gmachów, pomników, statków. Narkotyzuje się tempem, rekordową szybkością, zrywającą nerwy i wreszcie gnany ustawicznie głodem sensacyj poszukuje coraz nowych rzeczy. W ten sposób nieustannie wszystko zmieniając, nie przywiązuje się do niczego. Żyje w jakimś obłąkanym kalejdoskopie. Tem się tłumaczy brak równowagi w dzisiejszem życiu, zawrotne tempo i ustawiczne zmiany.

### MIT SOCJALIZMU

Mit socjalizmu był mitem Marksa. A przecież marksizm nie był bynajmniej dalszem ogniwem rozwoju myśli socjalistycznej. On był raczej jej jednostronnem skrzywieniem. Na czemże polegał mit Marksa? Sombart sądzi, że przedewszystkiem na tem, iż nie był socjalistyczny. Treść jego stanowiła wiara głęboka — mówi Sombart — że socjalizm nadejść musi i że nadejdzie, bo jest koniecznością, wynikającą z rozwoju dziejowego, z pewnych niezależnych od woli ludzkiej przekształceń w dziedzinie ogółu środków wytwórczych. Charakterystyczną cechą było tu to, że nie chodziło tu bynajmniej o jakieś nowe wartości etyczne, idące na zmianę starym. Chodziło poprostu o mechaniczne i konieczne przesunięcie posiadania własności pewnych dóbr materjalnych. Sombart sądzi, że wiara w nadejście socjalizmu była prawdziwą ideą religijną. Nauka Marksa to mit o utraconym i odzyskiwanym na nowo raju. „Mit ten — dorzuca Sombart — nie jest wyłączną cechą socjalizmu, ale stanowi on treść wielu systematów religijnych“.

Marksiści dzisiejsi na czele z Leninem wierzą niezłomnie w to, że każda litera nauk Marksa stanowi objawienie wielkich prawd. Lenin podkreślał to wielokrotnie, z uporem fanatyka, w swoich pismach. W wierze tej o nieomylności Marksa tkwi największa siła i słabość marksizmu. Nie można mówić o krytyce Marksa wobec rosyjskiego bolszewika. Marks to objawienie prawdy. Życie samo tylko może rozbić dogmaty tej nauki i od dłuższego czasu rozbija je z nieubłaganą konsekwencją. Ale i to niestety nie może nawrócić marksisty. Woli on uznać, że to życie samo raczej się pomyliło. Ten sposób rozumowania cechuje wszelkich sekciarzy. Ludzkość, dowodzi Sombart, poszła inną drogą. Ma ona dość wiary, opartej o pseudo-naukowe broszurki, będące pracowitym i częstokroć misternym wyciągiem z marksistowskiego talmudu. Ma dość zoologicznej, wschodniej nienawiści i fanatyzmu. Chce braterstwa i narodowej wspólnoty, opartej o serdeczne węzły miłości społecznej.

### „FÜHRERPRINZIP“

„Führerprinzip“, zasada przywództwa, stanowi zasadę organizacyjną wszelkiej władzy w dzisiejszych Niemczech. Zasada ta jest logicznym wynikiem poglądu na państwo i jego zadania. Sombart powiada: „Idealistyczne państwo, jak je rozumie niemiecka idea państwowa, jest z samej swej konieczności mocnem państwem, ponieważ musi ono swoją siłą przewyższać wszystkie siły odśrodkowe, t. zn. musi ono stać ponad wszelkiemi interesami, spełniając zadania, stawiane mu przez naród. Mocne państwo atoli znajduje swój wyraz w silnym rządzie, wyposażonym w rozległą władzę.—„Największą potrzebą państwa jest przeto zdecydowany rząd (Goethe)“. Charakterystyczną cechą Niemca, wywodzi Sombart, jest radość ulegania jasnym i mocnym rozkazom. „Nie ma to nic wspólnego z „prusactwem“, jak to niektórzy utrzymują“ — dodaje on dalej. „Można powiedzieć — utrzymuje Sombart — że Niemiec chętnie daje się „prowadzić“.

Wynika z tego, że najwłaściwszą władzą dla Niemca będzie taki rząd, w którym moment „prowadzenia“ będzie najwyraźniejszy. I tu dochodzimy do wyżej wspomnianego „Führerprinzipu“. Sombart tak tę zasadę rozwija: „Führerprinzip, który my wyznajemy, dochodzi do zenitu w ujęciu przez nas woli naczelnej wodza, który otrzymuje nakazy wprost od Boga, jako „wodza“ świata, a nie od żadnego innego zwierzchnika. Kto rozumie całkowicie i przyjmuje szczerze zasadę przywództwa, ten musi niezłomnie wierzyć w jej Objawienie. Bez tej wiary w Objawienie zasada przywództwa wisi niejako w powietrzu. Wódz państwa ma więc swój mandat od Boga“.

Mamy w tem ujęciu problemu wodza pierwiastek mistyczny, stanowiący cechę charakterystyczną duszy niemieckiej. Ruch hitlerowski jest z ducha niemiecki. I dlatego znalazł taki duży oddźwięk w duszach Niemców.

* * *

„Człowiek jeden — powiada Heraklit z Efezu — wart jest dla mnie tyle, co dziesięć tysięcy ludzi, o ile jest najlepszy“ Czasy dzisiejsze to poszukiwanie owego najlepszego. W poszukiwaniu tem — zdaniem Sombarta — zamyka się istota nowoczesnych ruchów narodowych. Wszystkie one szukają człowieka, który mógłby poprowadzić naród do realizacji jego zadań dziejowych. Człowiek taki w różny sposób objawia się narodowi. Przedewszystkiem, jako organizator sił społecznych. Nie wybierają go ludzie, lecz narzuca historja. W tem tkwi siła takiej jednostki, która ucieleśnia pragnienia swego narodu. Ona tworzy hierarchję narodową, dokoła niej grupuje się elita, za nią idą masy, wiedzione nieomylnym instynktem. Sombart dowodzi, że instynkt niemiecki umiał zawsze znaleźć istotnego Führera (wodza) i tak, jak ongi znalazł Bismarcka, tak dziś odkrył wodza w Hitlerze.

Znamienny jest ten pogląd Sombarta. Pozwala on wiele zrozumieć z tego, co w hitleryzmie sprawia największe trudności do zrozumienia — pierwiastek mistyczny.

[1]) WERNER SOMBART: Deutscher Sozialismus 1934. Buchholz u. Weisswange Verlagshandlung. G. m. b. H. Charlottenburg. Str. 347.

---

Tytus Czyżewski

## Szałas w górach

### Pastorałka

W górskiej polanie lilje kwitną
są to fiolety śniegu i chmur
lasy szyszaki z liści zielonych kiścią
dźwięczą i skrzypiec — wiatrów struny
wspomnienie staruszki chaty w górach
ukrytej w śnieżnych falach i głąb
dalekich górskich pasm i wstąg
roje pszczół szumią to jodły
brzęczą znów, bladą muzyką lir
wstążkami ścieżek w dolinach w grań
skalną pełznących granitów tłumu
śpieszą się biegną mrówki trzód
szczekają psy po halach wiatr niesie
jak młoty jak brzęk kamieni o stal
krzyki pasterzy pieśni ptaków
jodeł śpiewy organ w kościele
złoty brzęk kluczy i miedź
dzwonów w śnieżnych świątyniach
a w małej skulonej szopie
wśród gór, wśród ciemnego lazuru plam
lasów dalekich ugrowych siół
w szopie gdzie w żłób skrzesany świerk
pachną jasne kędziory ziół
stado owiec pobekuje w gródzy
i krowy mruczą jak pod wieczór sowy
a w żłobie Dziecię trzepoce rączkami
Matka nad Dzieckiem klęczy schylona
wpatrzona w jasne studnie oczu i rzęs
kwili Dziecię ptaki w lesie kwilą
tą najpiękniejszą dla Matki muzyką
lecącą w chmury w ciszę skał
a w progu stoi siwy cieśla Józef
w starym korzuchu z kijem w ręce
wpatrzony w niebieszcz turni i grań
grających wiatrem muzyką chmur,
zza chmur gwiazdy bryszczą jak rój
szpilek, brylantów, pereł lub rój
świętojańskich robaczków i skier
dalekich pasterskich ognisk i watr
Tatrów lodowe turnie i chmur
szukających gonitwy z księżycem
od wsi od łąk polan i siół
dymnych szarych tłumnych chat
idą gromadą z muzyką dzwoniącą,
huczące chrząszcze, bas i flet,
polana w śniegu zakwitła jak sad
ogród ludzkich oczu i kwiatów
wpatrzonych w Dziecię, Matkę i żłób
a gwiazda gwóźdź żarząca się w lazurze
przebiła strzechę szopy i zrąb
oświetliła szarej stajni żłób,
Dziecię z Matką i tłum pasterzy
to gwiazda betlejemska co miłość zwiastuje
co śnieg przemienia w kwiaty i obłok
w welon wiosny i ciepły wiatr świeży
i przed szałas prowadzi królów i pasterzy

---

## Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACYJ KSIĘGARSKICH

**BURDECKI F. dr.: Życie maszyn,** z 21 rys. 8° str. 252. Lwów 1934. Książnica-Atlas. Zł. 4.40. kart. 5.60.

**BYSTROŃ J. S.: Człowiek i książka,** z 12 ilustr. 8° str. 201. Warszawa 1935. „Rój“. Zł. 5.—, opr. 6.80.

**CHŁĘDOWSKI K.: Z przeszłości naszej i obcej,** z 69 ilustr. 8° str. 711. Wydanie uskutecznił L. Bernacki. Lwów 1935. Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Zł. 30.—.

**DZIEKOŃSKI A.: Dramat Lucyfera.** Komentarz poetycki. 8° str. 69. Warszawa 1934. F. Hösick. Zł. 3.—.

**GAŁECKA M. i KULZOWA H.: Kuchnia polska,** z ilustr. H. Żerańskiej, z 68 tabl. rys. 8° str. XXIV i 693. Warszawa, 1934. M. Arct. Opr. zł. 32.—.

**GORDZIAŁKOWSKI H.: Czarny sen.** Przygody i przeżycia w Kongo belgijskiem. 8° str. 158. z 15 ilustr. i mapką. Lwów 1934. Książnica - Atlas. Zł. 3.—.

**Historja sztuki,** opracowali **S. J. GĄSIOROWSKI, M. GĘBAROWICZ, T. SZYDŁOWSKI, W. TATARKIEWICZ, J. ŻARNOWSKI, J. ŻUROWSKI.** Tom III. 8° str. 514 z 342 ilustr. Lwów 1934. Zakład Narod. im. Ossolińskich. Zł. 18.—.

**JANOWSKI J.: Dzień jak noc.** 8° str. 224. Warszawa 1934. F. Hösick. Zł. 6.—.

**KALINOWSKI A. i ZIEMKIEWICZ T.: Jak urządzać ślizgawki,** z 15 rys. 8° str. 32. Warszawa 1935. Nasza Księgarnia. Zł. 1.30.

**KÖRMENDI FR.: 7.15 via Badenbach.** Przekład z węgierskiego, R. Schütza. 8° str. 259. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 3.—.

**KOWALEWSKI M.: Dzierżawa przedsiębiorstwa handlowego.** 8° str. 35. Warszawa 1934. F. Hösick. Zł. 2.—.

**KRZEMIENIECKA L.: Tajemnicze odwiedziny,** ilustrował K. Sopoćko. 4° str. 20. Lwów 1934. Książnica - Atlas. Kart. zł. 2.—.

**KUNCEWICZOWA M.: Dyliżans warszawski.** 8° str. 199. Warszawa 1935. „Rój“. Zł. 6.—.

**MAKUSZYŃSKI K.: Człowiek znaleziony w nocy.** Wyd. 3-cie. 8° str. 287. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 6.—.

**MALRAUX A.: Dola człowiecza.** Przeł. A. Wężyk. 8° str. 344. Warszawa 1935. „Rój“. Zł. 5.—.

Jerzy Andrzejewski

# Drogi nieuniknione*)

Po tym wieczorze u Mirzyka Kalińskiego, Cyla i Michał nie widzieli się przez dłuższy przeciąg czasu. Od Mirzyka tylko Czarja słyszał, że Cyla przechodziła w zimie operację, a później wyjechała do sanatorjum. Tymczasem miało miejsce drobne zdarzenie. o którem Czarja nawet nie wiedział. Przypomniała o niem Cyla. Było to na krótko przed jej wyjazdem do sanatorjum. Jadąc któregoś dnia tramwajem, spotkała Czarję. Siedziała naprost drzwi i kiedy wszedł, wydało się jej, że ją zobaczył, ale nie chcąc się najwidoczniej przywitać. odwrócił głowę. Pamiętała dobrze, że zrobiło się jej wówczas przykro i kiedy później Michał zapewniał, że jej wtedy nie dostrzegł, była wyraźnie ucieszona.—To dobrze — powiedziała — nie chciałabym, żebyś mnie nawet i dawniej unikał.

Był jednak okres, kiedy wyraźnie unikali się oboje, zachowując wobec siebie najdalej posuniętą rezerwę. Okres ten ciągnął się w ciągu wielu miesięcy: przez zimę, wiosnę aż do lata. Wtedy właśnie, nadal się nie widując, zaczęli o sobie wiele wiedzieć. Stało się to za sprawą Ludwiki. Czarja, pochłonięty naj dziwaczniejszym ze wszystkich swoich romansów — związkiem z pewną przygodną dziewczyną uliczną, oddalił się w tym czasie od Ludwiki i widywał się z nią bardzo rzadko. Ludwika, jak zawsze w takich wypadkach, szukała ratunku w zawieraniu nowych znajomości. Mniej więcej w połowie zimy Mirzyk wprowadził ją do domu niejakiej pani Ganowej, żony emerytowanego majora. kobiety już podstarzałej, ale pełnej jeszcze werwy i chęci życia. Małżeństwo Ganów uważane było przez większość znajomych za wyjątkowo niedobrane. Major przebywał najczęściej poza domem, gdzie — tem nikt się nie interesował, wystarczało, że pana domu niema — i zabawa może nabrać niefrasobliwego charakteru. Sama wybitnie umuzykalniona. a w młodości obdarzona pięknym głosem Ganowa zgromadzała na swych przyjęciach dużo młodzieży artystycznej. Do tego domu wprowadził Mirzyk Ludwikę. Mirzyk, znając Czarję jeszcze ze szkoły, orjentował się coś nie coś w jego stosunku z Ludwiką. Sam nie będąc Ludwiką zainteresowany erotycznie, lubił ją jednak serdecznie i szczerze współczuł jej losowi. Namawiając Ludwikę do wybrania się do Ganowej, kierował się najlepszą intencją. Tłumaczył Ludwice, że napewno będzie się tam mogła rozerwać, pozna wielu młodych ludzi, bo majorowa, jak zaraz poinformował, wyraźnie faworyzowała na swoich przyjęciach płeć brzydką. O jej flirtach opowiadano sobie niestworzone historje. Wogóle dom był morowy. Po dłuższym namyśle Ludwika zgodziła się, chociaż dużo ją kosztowało przezwyciężenie nieśmiałości, jaka ją zawsze ogarniała, ilekroć miała się znaleźć w nowem otoczeniu. W tym wypadku znaczną ulgą była dla niej pewność, że pomiędzy gośćmi Ganowej spotka wiele osób, znanych jej już oddawna z wieczorów u Mirzyka. Jedną z nich była Cyla.

W tym okresie stosunek Ludwiki do Cyli był zupełnie nieskrystalizowany. Wiedziała dużo o Cyli od Mirzyka i wszystko, co jej opowiadał, stawiało Cylę w jaknajkorzystniejszem świetle. Trudno było nie czuć do niej sympatji. Ale Ludwika dobrze zapamiętała ów wieczór u Mirzyka, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Cylę. Wydało się jej wówczas i od tego wrażenia długo się nie mogła uwolnić, że Michał wyraźnie zainteresował się Cylą. W swojem przeczuleniu czuła się przez cały wieczór niepotrzebna, jej obecność zawadzała tylko Michałowi, nie pozwalała mu być sobą. Jeśli po wyjściu krytycznie wyraziła się o sukni Cyli, to dlatego aby przekonać się, jak Michał na to zareaguje Była pewna, że zaprzeczy i podkreśli, że przeciwnie: suknia Cyli jest wyjątkowo udana, nic jej nie można zarzucić i dobrze byłoby, gdyby ona, Ludwika, umiała się tak ubierać. Ludwika wiedziała z doświadczenia, że podobna rozmowa może się skończyć poważniejszem nieporozumieniem, była jednak całym wieczorem tak zmaltretowana, że już nie myślała, co będzie potem. Było jej wszystko jedno.

Stało się jednak inaczej, niż przypuszczała. Uwagę Ludwiki Michał zbył milczeniem. Więc Ludwika po raz drugi. Dopiero wtedy Michał ocknął się z zamyślenia, spojrzał na Ludwikę nieobecnemi oczami i spytał obojętnie—Tak?—Na tem się skończyło. Ale sposób, w jaki zareagował Michał, był dla Ludwiki najlepszym dowodem, że Cyla musiała zrobić na nim duże wrażenie. Milczał, bo to wrażenie chciał ukryć, zachować zazdrośnie dla siebie, a tem samem ją, Ludwikę, na bok usunąć, zbyć byle czem. Ta urojona klęska i świadomość upokorzenia były w Ludwice tak silne, iż przez długi czas wszystko, co Mirzyk mówił o Cyli, drażniło ją i niepokoiło. Z czasem, kiedy przekonała się, że Cyla Michała nic nie obchodzi, zaszła w niej zmiana. Niechęć przeszła w zainteresowanie i tylko głęboko w świadomości pozostał ślad dawnej urazy.

Po przyjęciu u Ganowej, uraz ten znikł zupełnie. Tak się złożyło, że dużo tego wieczoru rozmawiała z Cylą i wyszła pod silnem wrażeniem jej uroku i inteligencji. Kiedy w tydzień później znowu wybierała się do majorowej, szła dlatego tylko, żeby mieć okazję zobaczyć Cylę. Nie posiadając dotąd ani jednej przyjaciółki, pragnęła ją znaleźć w Cyli. To poszukiwanie przyjaźni było, jak wszystko zresztą w życiu Ludwiki. ściśle związane z Michałem. W intymnych rozmowach z Cylą, a do takich wytrwale i uparcie dążyła, Ludwika spodziewała się znaleźć odprężenie dla swoich nerwów, odpoczynek i ulgę płynącą z przeświadczenia, że istnieje ktoś bliski, komu można zawierzyć swoje troski i niepokoje. Ten ostatni zwłaszcza moment odgrywał dużą rolę w kształtowaniu się nowego stosunku Ludwiki do Cyli. Życie Ludwiki, pozbawione zdarzeń niezwykłych i zewnętrznie monotonne i jałowe, posiadało jednak bogaty nurt wewnętrzny, tysiącem splotów i załamań koncentrujący się dokoła jednego punktu, któremu na imię było — Michał. Otóż z tem wszystkiem, co żyło w Ludwice, trzeba było coś zrobić, trzeba było sobie jakoś poradzić z owem nieznośnem, a nieuniknionem dławieniem uczuć i pragnień. Michał tutaj się nie liczył. Jemu nie można było wszystkiego powiedzieć, wobec niego bardziej, niż wobec kogokolwiek innego, obowiązywały granice szczerości. Wszystko to, co jej ciążyło na sercu, mogła Ludwika wyjawić Michałowi pod wpływem uniesienia lub rozdrażnienia, ale to było co innego, takie wyjawienie miało inny charakter, to nie było to samo, co przyjść do drugiego człowieka i w spokoju wyznać mu najtajniejszą sprawę. Tam była zacięta walka. tam, kiedy się mówiło, czuło się ból, ból przejmujący i rozpacz, a Ludwika nie chciała już więcej bólu. Chciała tylko z bólu i z cierpienia się zwierzać. Już pierwszego wieczoru odniosła wrażenie, które z czasem miało się stać pewnością iż Cyla jest takim właśnie człowiekiem, któremu można się zwierzać. Znając ją bardzo jeszcze powierzchownie, intuicyjnie wyczuwała w niej wiele podobieństw z sobą. W życiu Cyli istniało takie same. jak i w jej życiu, choć z innych przyczyn płynące załamanie. Z tego, co mówił Mirzyk, Ludwika wysnuła sobie obraz Cyli może nieco przejaskrawiony jednostronnie. ale w swojej istocie prawdziwy. Druga rozmowa utwierdziła ją w tem przekonaniu. I była tem wszystkiem tak pochłonięta, iż uszła jej uwadze pewna rezerwa Cyli. Ta rezerwa nie przejawiała się w chłodzie, wprost przeciwnie, Cyla była uprzejmą i serdeczna, jakkolwiek więcej słuchała Ludwiki, niż sama o sobie mówiła. Ludwika od pierwszego spotkania u Ganowej zrobiła na niej dodatnie wrażenie, ale zainteresowanie jej przeżyciami było w bardzo słabym stopniu związane z osobą Ludwiki. Wynurzenia Ludwiki odkrywały Cyli kogoś innego. To był Michał. Wszystko, co Ludwika mówiła o Michale, załamywało się w Cyli w specjalny sposób. Porównując swoje pierwsze wrażenie z wieczoru u Mirzyka z całym niepokojącym chaosem sprzecznych uczuć i impulsów, od słanianych w Michale przez Ludwikę, nie umiała tego wszystkiego pogodzić i przyjąć Michała w pewnej, choćby w przybliżeniu określonej postaci. Raz po raz wymykał się jej. Później dopiero przekonała się, że wina w tym wypadku leżała po stronie Ludwiki. To nie Michał był trudny i nieuchwytny, to Ludwika w zależności od nastroju przedstawiała go w coraz to innem świetle, sama nawet nie zdając sobie sprawy, jak często przeczy sama sobie. Wyszło później najaw, że i wobec Cyli Ludwika nie zwierzała się, to nie były zwierzenia, to było w istocie to samo, co mówiłaby Michałowi, tylko przeniesione na inny grunt, odarte z rozdrażniającej bezpośredniości, jakgdyby zamaskowane. Dlatego Cyli o wiele trudniej było rozeznać się w Michale, aniżeli jemu w niej. W tem. co Ludwika opowiadała Michałowi o Cyli, było nieporównanie więcej spokoju i bezstronności.

Z początku Michał przyjmował zachwyty nad Cylą z taką samą obojętnością, z jaką doniedawna słuchał Mirzyka. Pochłonięty własnemi sprawami, był zadowolony, że kosztem zainteresowania Ludwiki Cylą może uniknąć kilkunastu przykrych chwil mówienia o sobie i wysłuchiwania żalów. Z czasem, kiedy w swoim stosunku do owej ulicznej dziewczyny zaczął odkrywać pierwsze objawy przesytu i znużenia, zmienił się i jego stosunek do Cyli. Coraz częściej zdarzało się, że pierwszy zapytywał o Cylę i tak się nieraz składało, iż spotkania z Ludwiką niemal w całości były wypełnione rozmową o Cyli. W tem zainteresowaniu się Michała Cylą, Ludwika nie dostrzegała żadnego niebezpieczeństwa dla siębie. Raz doszedłszy do przekonania, iż Cyla jest Michałowi obojętna, nie wracała już do tej kwestji i uważała, że niema nic naturalniejszego, niż owa ciekawość Michała. Uważała, że jest ona dla Michała tylko pretekstem, może nieuświadomym, ale w każdym razie pretekstem do ukrycia budzącego się w nim nanowo zainteresowania nią samą. Już o wiele później miała się przekonać, jak bardzo myliła się i jak dzięki tej pomyłce własnoręcznie przygotowała sobie własną zgubę. Kiedy Michał od niej odchodził, wymówiła mu to. To dzięki niej poznał się z Cylą, jej wszystko oboje zawdzięczają, tylko jej, a teraz, kiedy jest niepotrzebna, można ją, jak psa odpędzić... Michał odparł wówczas, że i bez niej poznaliby się z Cylą. Sprawy równie ważne, jak ta, jeśli mają się stać, zawsze się staną i ludzie sobie przeznaczeni odnajdą się nie tą, to inną drogą. Ale tak nie było. Drogi ludzkie są jedyne i nieuniknione. I tak już widać być musiało, aby Ludwika przyłożyła się do własnej zguby. Bo czyż można przewidzieć, w jakiej chwili, w jakim czynie, w jakiem słowie przygotowujemy sobie szczęście lub śmierć? Te rzeczy są już poza nami. Można je przyjąć, uiec im, ale niepodobna zrozumieć. Żeby wiedzieć chociaż, poco się cierpi — wyrwało się Ludwice podczas tej samej rozmowy. Mówiła nie patrząc na Michała, półprzytomna, ogłuszona przejmującym bólem — poco to wszystko, dlaczego? I Michał, który tyle mądrych i wzniosłych rzeczy mówił o cierpieniu, nie umiał odpowiedzieć. Poco, dlaczego? Cóż tu można było wyjaśnić, jeśli poza każdem z tych pytań widziało się jedną rzecz niezmienną: śmierć. Istniała jeszcze przed tem samotność, ale czyż samotność i śmierć to nie to samo? Taki był los Ludwiki. Dzięki niemu poznali się Cyla i Michał cierpienie Ludwiki niosło w sobie, jak zarodek życia, ich przyszłe szczęście.

Z tego, co opowiadała Ludwika, dwie sprawy specjalnie wymownie przemówiły do wyobraźni Michała. Pierwsza — to była choroba Cyli, druga posiadała charakter jeszcze bardziej intymny. Z pewnych półsłówek Ludwiki, półsłówek tylko, bo Ludwika sama tej sprawy dobrze nie znała, domyślił się, że istniał w życiu Cyli jakiś mężczyzna. Kim był ten człowiek i gdzie go poznała, o tem miał się później dowiedzieć, wówczas wiedział tyle tylko, że umarł na gruźlicę. Cyla, jak twierdziła Ludwika, ciągle jeszcze żyła pod wrażeniem tego uczucia. A zatem—dopowiedział sobie Michał — uważała swoje życie osobiste za skończone. W połączeniu z chorobą, uniemożliwiającą Cyli normalną pracę i ciągle każącą myśleć o śmierci, ta tajemnicza historja nieszczęśliwej miłości stawiała Cylę w świetle tragicznem i beznadziejnem Przeświadczenie, że w życiu Cyli wszystko, co ważne, ostatecznie już zostało zamknięte, przez długi czas istniało niezachwianie w Michale. Nawet później, gdy już poznał Cylę, nie przypuszczał, że może go pokochać.

W tym czasie, na krótko przed spotkaniem Cyli u Ganowej, Czarja zobaczył ją przypadkowo na ulicy. Było to z początkiem wiosny. Czarja przeżywał zły okres. Ostatnie zdarzenia wyczerpały go nerwowo. Od paru miesięcy nie dotknął się nawet płótna, dnie spędzał gnuśnie i jałowo, wieczorami, jeśli nie widział się z kochanką, a spotkań tych miał coraz bardziej dość, wałęsał się po mieście w poszukiwaniu nowych przygód. Wracając właśnie z jednej takiej włóczęgi późną nocą do domu. natknął się na Cylę w towarzystwie jakiegoś młodego mężczyzny. Było to na Placu Teatralnym. Stali przy przystanku, czekając najwidoczniej na tramwaj. Czarja nie zdążył nawet zauważyć wyrazu twarzy Cyli, sądząc bowiem, że go nie dostrzegła, cofnął się w cień i szybko przeszedł na drugą stronę placu. Tam zatrzymał się i obserwował. Był jednak pod tak silnem wrażeniem tego niespodziewanego spotkania, iż później, gdy Cyla pożegnawszy się z towarzyszem, wsiadła do tramwaju, nie umiał sobie zdać sprawy z uczuć, jakich doznał, przypatrując się Cyli ze swego ukrycia. Nie wątpił, że z owym mężczyzną musiały ją łączyć bliższe stosunki. Ta myśl długo prześladowała go uparcie i nazajutrz, nie mając pierwotnie zamiaru odwiedzić Ludwiki, wybrał się do niej, aby wybadać, czy istnieje teraz ktokolwiek w życiu Cyli. Ale Ludwika nie wiedziała nic pewnego. Michała ogarnęła głucha złość. Szybko skierował rozmowę na inny temat i powoli z wyrachowaniem i z zimną krwią starał się Ludwikę zgnębić i upokorzyć. Czuł, że musi ją tego dnia zmusić do łez i ostatecznie przybiwszy zostawić w nastroju rozpaczliwym. Sądził, że w tem udręczeniu Ludwiki znajdzie ulgę, wyszedł jednak w humorze jeszcze gorszym. Obraz Cyli i towarzyszącego jej mężczyzny utkwił mu w pamięci, jak drażniąca drzazga. Już o wiele później miał poznać pewien szczegół, którego wówczas nawet się nie domyślił. Okazało się, że Cyla nietylko go zauważyła, gdy przechodził na drugą stronę placu, ale widziała również, że pozostał w ukryciu i stamtąd ją obserwował. Wtedy zmieniła zamiar. Postanowiła jechać sama. Wytłumaczyła swemu towarzyszowi, że jest już za późno na odprowadzanie, zresztą — postawiła sprawę jasno—woli być sama. I wiesz— to jeszcze powiedziała Michałowi — już w tramwaju postanowiłam z nim zerwać.

W parę tygodni potem Czarja wybrał się do Ganowej. Kiedy przyszli z Ludwiką, Cyli jeszcze nie było. Było zato dużo innych ludzi. Śpiewano, trochę tańczono, dużo krzyczano. Czarja z trudem przezwyciężał się, aby przystosować się do ogólnego tonu. Nadomiar złego Ganowa od pierwszej chwili wzięła go pod swoją wyłączną opiekę: przysiadła się do Czarji i wszczęła z nim rozmowę o malarstwie. Michał słuchał piąte przez dziesiąte, odpowiadał monosylabami, całkiem, jak mu się zdawało, bezsensownemi. Wreszcie przemógł się i jakby na złość samemu sobie, zaczął dużo i z przejęciem gadać. Mimo to jedno go całkowicie pochłaniało: ciągle nadsłuchiwał, czy w przedpokoju nie zabrzmi dzwonek. Za każdym razem, gdy ktoś dzwonił, czuł, że wszystko w nim zamiera. Potem po krótkiej chwili natężonego oczekiwania przychodziło rozczarowanie.

Nastrój w salonie stawał się coraz swobodniejszy. Młodzi raz po raz wymykali się nieznacznie do jadalni i wracali stamtąd jeszcze weselsi i hałaśliwsi. Dochodziła już dziesiąta, Cyli ciągle nie było. Niedługo miano podać kolację, ale Czarja zadecydował, że nie zostanie. Wytłumaczył się majorowej jakiemiś bardzo ważnemi powodami, obiecując przytem, że przy następnej bytności poprawi się. Miał już wychodzić, kiedy w jadalnym zadzwonił telefon. Michał odrazu wiedział, że to od Cyli. Stanął niedaleko drzwi, aby lepiej usłyszeć rozmowę. Rzeczywiście telefonowała Cyla. Z urywanych strzępków rozmowy domyślił się, że jest obecnie w kawiarni w jakiemś większem towarzystwie i telefonuje, aby dowiedzieć się, czy może przyjść tak późno. Ganowa zapewniała, że oczywiście, o każdej godzinie może przyjść, zresztą teraz zabawa jest najlepsza. Kto jest? No, jak zawsze, wymieniła imiona swoich stałych gości i przy końcu dorzuciła, że jest również i pan Czarja, ale chce już iść, ona nie może go zatrzymać, więc może Cyli się to uda. W chwilę później tłumaczyła Michałowi: No, widzi pan, teraz pan nie może iść, telefonowała Cyla, że zaraz przyjdzie, więc gdyby pan wyszedł, toby tak wyglądało, jakby pan przed nią uciekał. Do rozmowy przyłączyła się Ludwika. Jakto, Michał chce już iść? Odpowiedział sucho, że tak, ma ważną rozmowę w związku z projektowaną wystawą jego grupy. Ludwika była tak wytresowana, iż odrazu połapała się w sytuacji. No, oczywiście — zwróciła się do Ganowej — a to z niej gapa, przecież jeszcze przed wyjściem z domu Michał wspominał jej o tej sprawie, zupełnie zapomniała. Czy to rzeczywiście taka ważna sprawa? — spytała Ganowa. Widać było po jej minie, że niczemu nie wierzy, ho, ho — mówiły jej oczy — ona dobrze wie, jakie to mogą być ważne sprawy o tej porze. Michał czując, że teraz trudno się wycofać, obstawał przy swojem. Owszem, sprawa jest ważna, ale to nie przeszkadza, że może jeszcze pół godziny zaczekać, tylko nie dłużej, niż pół godziny. Zostanie, bo nie chce, aby wyglądało, jak mówi majorowa, że ucieka przed panną Cylą.

W niecałe dziesięć minut potem przyszła Cyla. Kiedy w przedpokoju rozległ się dzwonek, Czarja był już spokojny. I chwila, której oczekiwał z takiem wewnętrznem napięciem, przeszła zupełnie zwyczajnie: przywitali się z Cylą raczej chłodno, zamienili kilka zdawkowych frazesów, że dawno się nie widzieli, że coś tam jeszcze, i rozdzieleni zaraz innymi ludźmi odeszli od siebie pod przykrem wrażeniem, że wbrew oczekiwaniom każde z nich spotkało się z obojętnością drugiej strony. W kwadrans później Czarja wyszedł.

Następne spotkanie zdarzyło się również u Ganowej, w kilka miesięcy później. Cały ten czas Czarja spędził poza Warszawą. Wkrótce po pierwszej wizycie u Ganowej doszedł do przekonania, że dłużej podobnie próżniaczego i bezmyślnego życia prowadzić nie może. Czuł, że musi się stać coś, co go wyrwie z nieznośnego i poniżającego stanu gnuśności. Z Warszawą nic go nie łączyło, atmosfera wielkiego miasta ciążyła mu coraz silniej. Wydawało mu się, że, zmieniwszy otoczenie, zmieni się i sam, odnowi swoje siły i myśli. Zdecydował się więc szybko. W ciągu paru dni zlikwidował swoją kawalerkę, rzeczy sprzedał i, dopożyczywszy jeszcze pewną sumę, wyjechał w góry.

Ludwika przyjęła to rozstanie z ulgą. Jej stosunki z Michałem układały się ostatnio tak niepomyślnie. iż sądziła, że paromiesięczny okres rozstania powinien przynieść odprężenie. I rzeczywiście nie myliła się. Michał wrócił do Warszawy wyraźnie spokojniejszy i bardziej zrównoważony. Ten stan. jak się wkrótce okazało, miał się niedługo skończyć. ale Ludwice wystarczyło kilka spotkań z Michałem, aby zbudziły się w niej wszystkie nadzieje. Wtedy właśnie postawiła otwarcie sprawę ślubu. Michał zgodził się. Wyznaczyli więc najprędszą możliwą datę: ostatni wtorek lipca. Oprócz Mirzyka i jeszcze jednego z przyjaciół Michała, upatrzonych na świadków, o sprawie tej nikt nie miał wiedzieć.

Jedna jeszcze osoba poza świadkami powinna była, według Ludwiki, o ślubie wiedzieć: była to Cyla. W czasie nieobecności Michała Cyla z Ludwiką widywały się jak zawsze u Ganowej, pozatem kilkakrotnie odwiedzały się u siebie w domach. Pobyt poza Warszawą przytłumił w Michale myśl o Cyli, ale gdy po raz pierwszy po powrocie usłyszał o niej od Ludwiki natychmiast odżyło w nim wszystko, co przeżył, w sposób tak niejasny i dla siebie samego niepojęty przed wyjazdem. Spotkanie u Ganowej miało tym razem inny zupełnie charakter. Michał już nie ukrywał radości, jaka go ogarnęła, gdy ujrzał Cylę wchodzącą. I ona była inna, niż poprzednim razem. Zapamiętał dobrze, że podszedłszy do niego powiedziała: — O, jak się pan opalił! Świetnie pan wygląda. — Zastanowiło mnie — opowiadał później Cyli — jak takie proste i zwyczajne zdawałoby się słowa można odczuć w wyjątkowy sposób. Ty, to „świetnie pan wygląda" tak powiedziałaś, iż odrazu zdałem sobie sprawę, że już niema w tobie niechęci, którą, jak mi się zawsze zdawało, czułaś do mnie.

Ten drugi wieczór u Ganowej przeciągnął się do późnej nocy. Było już jasno, kiedy Michał odwoził Ludwikę na Dobrą. Cyla nie miała ochoty wracać do domu, więc pojechała razem z nimi. Potem Michał i Cyla zostali sami.

Ranek był ciepły, zapowiadał się upalny dzień. Szli w kierunku Wisły. Bulwary były puste, rzeką, we mgle, ciągnęły ogromne, drzewem naładowane tratwy. Niedaleko mostu Kierbedzia natknęli się na zabłąkaną dryndę, wsiedli i kazali jechać prosto przed siebie, byle gdzie. Z początku Michał chciał odwieźć Cylę na Rakowiec, do domu, ale wytłumaczyła mu, że nie chcąc niepokoić matki, woli wrócić później, będzie wówczas mogła usprawiedliwić swoją nieobecność nocowaniem u znajomych. Widzi pan — mówiła—moja matka nie ma mi za złe, jeśli jedną, czy nawet więcej nocy spędzę poza domem. Wierzy mojemu rozumowi. Zresztą jej poglądy są taką dziwną mieszaniną tradycyj z postępem. Coś takiego bardzo swoistego. A w tym wypadku naprawdę chodzi jej tylko o moje zdrowie. Jeżeli śpię, to jej się wydaje, że wszystko będzie już dobrze.

Jakiś czas jechali w milczeniu. W pewnej chwili Michał zaproponował, aby pojechali do niego. Mieszkał w okolicy Filtrowej, w mieszkaniu jednego ze swoich przyjaciół. Są dwa pokoje, łazienka, Cyla bez żadnego skrępowania będzie mogła wypocząć. Zaledwie to powiedział, przestraszył się swojej, jak mu się wydało, bezceremonjalności. Ale Cyla przyjęła ten projekt jak najnaturalniejszą rzecz. Zgodziła się prawie bez namysłu.

---

*) Fragment z opowiadania „Ostateczne".

Alfred Jesionowski

# Nowe powieści

Ostatnie tygodnie przyniosły dużo nowości w dziedzinie beletrystyki — i, rzecz znamienna, w tem stosunkowo niewiele przekładów z literatur obcych. Dobry to znak. Przedewszystkiem dlatego, że młodzi autorzy polscy mają przez to więcej szans dojścia do głosu. Niektóre debjuty w roku bieżącym były wielce obiecujące, aby przypomnieć powieści Badowskiej, Millera, Drzewieckiego, Wasilewskiej, Nowaka. Nie są to jeszcze rzeczy pełnowartościowe, z takich czy innych względów, jakie wysunięto w recenzjach szczegółowych, ale napisane z talentem, noszące znamiona oryginalności i indywidualności, obiecujące dużo.

Do tych udanych debjutów przybył nowy, powieść Wiesława Wohnouta: Miłość i Sprawa[1]). Mimo zupełnie widocznego wpływu „Biedy" na powieść Wohnouta, wpływu, ujawniającego się w ujęciu fabuły politycznej, nie zaciążył Kaden-Bandrowski na autorze w ujęciu ideologicznem, przeprowadzonem przez Wohnouta samodzielnie i ciekawie. Rzecz dzieje się w środowisku pepesowskiem (Kraków?). Tło i postacie ujęte są niezwykle realnie i trafnie. Postacie niektórych leaderów przypominają nam żywych działaczy obozu socjalistycznego. Miałoby się poprostu pokusę podstawić na miejsca mecenasa Golda, radcy Michnikoskiego czy starego Głaza nazwiska prawdziwe. W Piotrze zaś trudno nie dojrzeć autora (rozumie się: niezupełnie).

Przedstawiając całą jałowość wysiłków obozu socjalistycznego, smutne targi o krzesła poselskie i wpływy w partji, biurokrację urzędów partyjnych, walkę młodych ze starymi, uniknął autor przejaskrawienia i karykatury. Dzięki temu posiada powieść Wohnouta do pewnego stopnia walory dokumentu. Wiemy — co nam Wohnout uświadomił i przypomniał: tak mniejwięcej było. I nie tylko w P. P. S.

W wątku „sprawy" pomieścił autor nietylko walki wewnętrzne partji o ideologję i wpływy, dał także kilkoma doskonale skomponowanemi skrótami obraz życia społecznego, obraz widziany oczyma socjalisty — nie — raczej partji i socjalisty szczerego (autora). Strajk w fabryce cegieł Ehrenlosa (nomen-omen) to właśnie taki wycinek z życia, wycinek dobrze zaobserwowany i ciekawie przedstawiony, obfitujący w świetne opisy, momenty dramatycznego napięcia (śmierć Przybyły).

Obok „sprawy" — miłość. Przenika ona powieść całkowicie. Gdyby chodziło o zdefinjowanie miłości Piotra, głównego bohatera powieści — to nie będziemy ani chwili w kłopocie. Nie damy się zbałamucić ani miłością Potra do Ziuty, ani do Helenki, ani do Reginy. Piotr kocha tylko sprawę naprawdę, kocha wogóle ustawicznie nienasycony — ale my to nienasycenie rozumiemy. Nie jest ono z gatunku witkiewiczowskiego. Jest ono nienasyceniem nieskrystalizowanej całkowicie duszy, duszy w poszukiwaniu prawdy i szczęścia. Szczęście w miłości do kobiety znalazłby Piotr, gdyby znalazł kobietę, któraby łączyła w sobie temperament Reginy, uległość Helenki i drażniący niepokój Ziuty — i gdyby również oddana była „sprawie". Wtedyby Piotr prędzej porzucił socjalizm dla ideologji radykalniejszej, znalazłby ten spokój duchowy, którego brak go unieszczęśliwiał, czynił niezdolnym do decyzji i działania zgodnie z jego poglądami i zapatrywaniami. Wątek miłosny w powieści Wohnouta, mimo ujęcia świeżego i śmiałego, mimo znakomitej w wielu wypadkach obserwacji, nie jest tak jasno i przekonująco skomponowany, jak wątek „sprawy". Za dużo tu filozofowania, abstrakcyjnych dyskusyj, za mało przeżycia. W dorobku powieściowym bieżącego roku stanowi powieść Wohnouta pozycję wartościową, pozwala spodziewać się od autora rzeczy naprawdę tęgiej.

Ku innemu odcinkowi niedawnej przeszłości zwróciła się autorka Więzów — Irena Pannenkowa[2]). Tematem tej powieści jest formowanie się nowej Polski na terenie Małopolski Wschodniej, przygotowania do wyzwolenia, walki z Moskalami i Rusinami, oswobodzenie Lwowa. Pod względem kompozycji budzi powieść ta dość dużo zastrzeżenia. Ciągłość akcji utrzymuje autorka z trudem — wątek rwie się co chwila i tylko dzięki znajomości rzemiosła pisarskiego — całość wypada zadowalająco. Wyjazd i pobyt Marji, żony głównego bohatera, jest jak i kilka innych epizodów, najzupełniej zbyteczny. Nie wnosi nic nowego do akcji, ani do zagadnienia ideowego powieści. Razi pewna rozwlekłość w rozwijaniu tematu, zbytnia drobiazgowość w opisie szczegółów drugorzędnych.

Temat sam ujęty jest oryginalnie i ciekawie, wątek erotyczny zręcznie wpleciony w akcję patrjotyczno-polityczną, ocena poszczególnych działań, czynów formacyj wojskowych (Legjonów i P. O. W.) sprawiedliwa, ale może zbyt pobieżna. Postacie powieści są dość prawdziwe — ale za mało żywe, za mało plastyczne. Mimo tych, może zbyt skrupulatnie, podkreślonych wad, powieść czyta się, ze względu na nowość tematu, z zainteresowaniem.

Spod pióra Jerzego Bandrowskiego wyszły świeżo trzy interesujące utwory, dwa związane z regjonem wielkopolskim, i powieść psychjatryczna p. t. „Pałac połamanych lalek", którą omówimy przy innej sposobności dokładniej.

Pierwszy z regjonalnych utworów nosi tytuł: O małem miasteczku[3]). Na ten tomik składa się szereg wartościowych z punktu widzenia regjonalizmu szkiców. Autor wczuł się ze zdumiewającą intuicją w duszę małego miasteczka, odgadł jego serce i wartość. Zrozumiał i uwypuklił jego znaczenie dla kultury narodowej, dostrzegł niespożyte siły tkwiące w regjonie, dojrzał żale i bóle, dumę i radość tych cichych pionierów kultury regjonu — i przez nią bogactwo pierwiastków, składających się na twórczość ogólno-narodową we wszystkich dziedzinach naszego życia. Bandrowski nie ogranicza się do pewnych obserwacyj, do stwierdzenia pewnych faktów — ale wyciąga z nich niezmiernie interesujące wnioski. Oto jak sobie np. autor wyobraża kulturę prowincjonalną:

„Musi być w całości polska i oryginalna. Znaczyłoby to, że życie prowincji powinnoby wynieść na światło dzienne wszystkie najlepsze wartości rdzennie polskie, pomnożyć je, gdzie tego potrzeba wymaga, dostosować zręcznie do wyżyny kultury dzisiejszej, wogóle stworzyć miłą i pogodną pod każdym względem czysto polską atmosferę moralną, umysłową i materjalną".

Możliwości ku temu są, bo:

„Na prowincji jest mnóstwo bogatych księgozbiorów prywatnych i doskonale dobranych. Jest ich stosunkowo o wiele więcej niż w miastach wielkich. Prowincja czyta może wolniej, ale za to wiele dokładniej, poważniej, sumienniej i traktuje książkę na serjo. Nie jest zarozumiała, nie ma arogancji i tupetu, gdy nie rozumie nie potępia — ale domaga się wytłumaczenia".

Prowincja mogłaby ogromnie dużo zrobić dla kultury ogólno-narodowej, gdyby najlepsze siły nie odpływały do wielkich miast, gdyby wogóle centra nie czerpały tak bezceremonjalnie z najlepszych sił prowincji bez rekompensat. O tej kulturze regjonu wypowiada Bandrowski prawie na każdem miejscu tego niewielkiego, a tak zajmującego tomiku, dużo cennych uwag, przytacza przykłady pracy, twórczości regjonalnej, nawołując do zrozumienia duszy prowincji, do pomocy w pracy kulturalnej na „małem miasteczku".

Zagadnienie regjonu, tym razem wsi, wysuwa się na pierwsze miejsce właśnie w wydanej powieści Bandrowskiego p. t. Rajski Ptak[4]).

Wpierw dygresja. Gdyby się to komu na co przydało — miałoby się nieraz ochotę opowiedzieć dokumentnie, w ścisłej kolejności, jakich się doznaje wrażeń przy lekturze niektórych książek. Możeby się to i przydało samym autorom, ale wiadomo, że pp. twórcy niechętnie się odnoszą do wszystkiego, co nazywają pouczaniem, do tego, co powie krytyk. Nie przypuszczam, by Jerzy Bandrowski należał do tych twórców, bo właśnie w „Rajskim Ptaku" rozprawia się dość ostro z szeregiem przejawów współczesnej twórczości artystycznej, literackiej. I ma rację w dużej mierze. Zgodzimy się z Bandrowskim, gdy twierdzi, że dla polskiego chłopa oświeconego niema odpowiedniej literatury beletrystycznej. Ma rację autor „Rajskiego Ptaka", utrzymując, że zarówno znaczna część inteligencji, jak artystów, grzeszy jeśli nie wyraźnym oportunizmem, to w każdym razie obojętnością dla wielu palących spraw. Może trochę zbyt lapidarnie, ale niebardzo daleko od prawdy, określił Bandrowski pewne tendencje sztuki dzisiejszej: mówiąc o występującej w powieści artystce filmowej, której głównie o to chodzi, by w filmie efektownie umieścić swój główny atut, mianowicie (darujcie) swój zgrabny tyłeczek, twierdzi, że ta artystka „ma genjalne wyczucie dzisiejszej rzeczywistości artystycznej". Nie jest to prawda całkowita — ale dużo w tem racji. Powie czytelnik poniektóry, znający Bandrowskiego: że autor odprawia rekolekcje na wsi. A choćby. Iluż artystom przydałyby się takie rekolekcje. Mam wrażenie, że szczególnie wieś wielkopolska, którą Bandrowski wziął za tło swej powieści, nadaje się do tego celu znakomicie. Podobnie jak w małem miasteczku, odkrył autor we wsi wielkopolskiej nieznane i niespodziewane skarby. Oświecony chłop wielkopolski zaimponował autorowi słusznie szerokością swych poglądów, głodem wiedzy, zaradnością, zdrowiem fizycznem i moralnem. Zaimponowała mu wielkopolska wieś, której on pierwszy poświęcił w polskiej powieści opis obszerny i ciekawy. Pierwszy zwrócił uwagę na pełen harmonji pejzaż wielkopolskiej wsi:

„Widoki Wielkopolski są w wysokim stopniu muzykalne. Mają wyraźny rytm szerokiego, symfonicznego „Largo maestoso", równocześnie zaś ich równinna rozlewność nie jest ani monotonna, ani smutna, ani nudna, ...równina, ale podbita i uporządkowana przez kulturę, skutkiem czego ma inteligentniejszą, bardziej ożywioną minę (niż równina rosyjska lub węgierska). Patrzy rozumnie, bierze udział w pracy i życiu człowieka, nie wieje z niej pustka, lecz raczej szeroko rozmachnięta, rozumna siła. Niech pan patrzy, jak pięknie spiętrzone są te poczciwe, rozmaicie czerwone dachy domów... U góry najjaśniejsze tony, niżej ciemniejsze i ciemniejsze. Akord. — A u dołu czerwień starego, burgundzkiego wina — dominanta".

Co w „Rajskim Ptaku" najciekawsze — to nie wątek powieściowy, fabuła, raczej wątła, ale właśnie owe obserwacje o wsi i chłopie wielkopolskim, dyskusje na tematy współczesnej kultury literackiej i artystycznej, na temat kryzysu duszy, schorzałej i smutnej przez ustawiczne przebywanie w niszczącem nerwy środowisku zadyszanych, wiecznie się śpieszących, na nic czasu niemających ludzi, ludzi wielkiego miasta. „Po zdrowie moralne, po odpoczynek duchowy na cichą wieś, do spokojnego miasta!" — zdaje się wołać autor. — „Nie bójcie się — i tam jest kultura, tylko innego rodzaju!". Warto, warto czytać „Rajskiego Ptaka" Bandrowskiego, mimo widocznych i, nieraz przykrych braków, niedociągnięć natury artystycznej.

---

[1]) WIESŁAW WOHNOUT: Sprawa i miłość. Warszawa. 1935. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Str. 284.

[2]) IRENA PANNENKOWA: Więzy. Poznań 1934. Str. 222. Księgarnia Św. Wojciecha.

[3]) JERZY BANDROWSKI: O małem miasteczku. Bibl. Wici Wielkop. T. VII. Września 1934. Str. 73. Nakł. A. Pradzyńskiego.

[4]) JERZY BANDROWSKI: Rajski Ptak. Poznań 1934. Str. 222. Księgarnia Św. Wojciecha.

L. Całkosińska

# Cyfry w bańce mydlanej

Dziwna to i pod wielu względami, znamienna dla współczesnej twórczości powieść. Jakże daleko odeszliśmy od jasnej, zdecydowanej opinji o autorze i jego dziele. Czytając „Bois mort"*) korygujemy nieustannie nasze pierwsze wrażenia. Zmieniamy, by znowu i już do końca, doznawać coraz to innych. A kiedy zamkniemy książkę, pozostaje, jak po tych contes de Noel uczucie oszołomienia. Tyle tam zimy, mrozu i śniegu, jakgdybyś upił się haustem lodowatego powietrza. Potem, znacznie później, przychodzą refleksje, wyłuskana mozolnie z impresjonistycznych osłonek fabuła zdaje się tematem zużytym i zszarzałym, niemal klasycznym w niezmienności romansu o ginących rodach.

Znamy ją wszyscy, możemy prawie bezbłędnie przepowiedzieć dalszy rozwój akcji. Młoda spadkobierczyni nazwiska i tradycji... Ruina... Nowi ludzie, możni, wpływowi. Nienawiść (zdolna przerodzić się w miłość). Walka i zwycięstwo... A zatem to tak? A rzeczywiście, nie brak tu nikogo, żadnej z stereotypowych postaci. Jest nawet nieszkodliwy obłąkaniec, nawet kwestja majątkowa, nawet cyfry szeptane młodemi wargami Corolle Alerac. Ściśle według recepty Balzaca. Tylko, że niema w tem jego zasługi.

Wyobraźmy sobie cyfry w bańce mydlanej — a tak przedstawia je Monique Saint-Helier. Balzac oprawiłby je w złoto — i przyjemny to między sobą, — wolałby je w takiej oprawie.

Tak to z pozoru przedstawia się koncepcja autorki. Mimowoli ma się do niej żal o banał fabuły. Ale kiedy się z tem pogodzimy, zjawia się nowy, bogaty motyw, walki o supremację, o prawa tradycji, o rząd dusz. Ta walka przeistacza powieść, nadaje nowy, szlachetniejszy, piękniejszy kształt, otwiera nowe perspektywy, wprowadza głęboki ton pokrewny północnym opowieściom o ziemi, i walce ścierających się indywidualności. A ostatecznie okazuje się, że nie Corolle Alerac jest najważniejszą postacią, nie stary Guillome Alerac, — ale cała wygasła już rodzina. Historja młodej dziewczyny staje się czemś drugorzędnem. To co najważniejsze, to historja Rodu, jego wędrówek przez stulecia. Wędrówek w przestrzeni i czasie, w której dziś, wczoraj i jutro nie kłopoczą się o wyznaczone im miejsca.

Nikt tu nie robi ceremonij z prawidłem jedności. Aleracowie, ci sprzed pięćdziesięciu, ci sprzed stu lat, pojawiają się nieustannie, zasiadają w swych fotelach, niby nieodparta, najprawdziwsza rzeczywistość. Jakgdyby zużyta mapa świata, nad którą pochylały się żony Aleraców śledząc z pomocą igły, drogi morskie ich mężów, stała się mapą wędrówek w czasie. Jakgdyby nałóg podróży wszedł im w krew, i w zwyczaj. Co za nienasycona żądza przygód, wyrywająca ze snu zgasłe pokolenia i każąca powracać na ziemię Alexandrine, pojawiającej się we wspomnieniach ludzkich, niczem tańczący płomień na tle zimowego krajobrazu.

„Bois Mort" można nazwać księgę podróży Alerac'ów". Kto wie czy te podróże nie decydują o wartości i pięknie powieści? Ci Aleracowie przez setki lat mieli w posiadaniu ziemię, ale gnani żądzą nowości, przygód i bogactwa opuszczali ją na całe lata. Z tego rodziło się wiele podróży, wiele pieniędzy i ogromne poważanie. Kapelusze kłoniły się przed Aleracami, otwierały się banki, urządzano bale na ich cześć. W gorące noce suknie gazowe wirowały, wirowały... Aleracowie brali laski ze złotemi gałkami, rękawiczki od wielkiej ceremonji, a w kościelnych rejestrach piękne nazwiska młodych dziewcząt kładły się obok ich imion. Teraz na drugiej części świata, w ich rodzinnych domach, w przestronnych salach błąkały się niby strwożone po zachodzie słońca motyle, nowe, gardlowe głosy: Pepita, Jeffa, Inez. I ta Szwedka Ingrid, — nie wiadomo skąd i czemu...

„Zabieranie żon na wyspy było zwyczajem i jednym z warunków przy zawieraniu małżeństwa Aleraców. Rodzina obawiała się przybłędów, awantur i małych, kolorowych Aleraców. Wracały stamtąd, cierpiące i zziębnięte. Czemprędzej kupowano im futrzane okrycia: dla nich wypełniał się dom gorącemi kamionkami, ogrzewaczami i bezmiarem żelazek do fryzowania. W miasteczku nazywano je „Espagnoles". Miały też niewiele dzieci".

„Fortuny mają swe wiekowe choroby, fluksje: naraz przychodzi bogactwo... A potem jakieś niedomaganie zabiera pieniądze. Ciężka wlokąca się anemja..., to znowu znacznie prędsze: galopujące suchoty".

„Fortuna Aleraców dobiegała do końca. Uczono się oszczędzać. Nadlatywały złe dni. — „Pani pragnie chustki? — To trzydzieści franków". — Te trzydzieści franków tworzyło nawet w praniu niezatartą plamę. Zaczęto nienawidzieć rzeźników i sklepikarzy, ludzi przynoszących wam po dwadzieścia razy ten sam, znany na pamięć rachunek. Rachunek miał zawsze po lewej stronie tę samą plamę tłuszczu, lub tę samą plamę krwi, albo ten sam odcisk palca. O... cóż to za rozpaczliwi ludzie, domagający się zwrotu zwierzęcych kadłubów tak jakby to były conajmniej ulatujące anioły — kawałków cukru i zielonej soczewicy, sprzedawanych dwadzieścia razy drożej niżby się należało. Ah!... — pieniędzy... pieniędzy... rzucić im na głowy wszystko złoto świata..."

A tej zimy zaczęto u Aleraców palić chrustem.

Teraz to już wszyscy oni słyszą kosiarki młodego Graewa. I stary p. Guillome Alerac, i jego wnuczka Corolle, nawet zakochana w Graewie, krewna ich Mlle Huguenin, popychająca przed sobą niby stadko niesfornych jagniąt, wspomnienie dobrych chwil... Nie długo — myśli Corolle — kosy wkroczą na dziedziniec, a pewnego ranka obudzą nas, kosząc dywany naszych sypialni...

Z jednej strony są Aleracowie, a z drugiej przybysze - chłopi.

Przyszli tu przed pięćdziesięciu laty i z błękitu nieba wyrośli niby Wikingowie. Na czele szły dwie kozy, za nimi Jonathan Graew (ten sam, który po śmierci synów usiłował wskrzesić ich przywiódłszy przed dom pługi)... potem dwaj synowie niosący kosy, a dopiero za wszystkimi matki z ptakami w klatce. Stanąwszy przed bramą ukłonili się, ale ona patrzyła — przed siebie prosto, w samo niebo. I tak zatrzymali się. Zatrzymali się na dobre. Pożyczali chłopom pieniądze na inwestycje, na dokup, aż pewnego dnia okazało się, że niema już we wsi ani jednego, któryby się u nich nie zadłużył. Gospodarstwa zaczęły przechodzić w ręce przybyszów. Ale za fermami byli fermerzy,—za nimi Greew, a za Graewem—Aleracy. Oto i walka. Ci ludzie należeli przez setki lat do Aleraców, byli Aleracami i pozostaną... „—Brak wam pieniędzy? Od czego są banki?"

— Padła ci krowa: Cóż zrobisz z jedną, oto masz cztery i zmykaj. Co? — chcą ci zabrać dom? — Powiedz im, że między tobą, a domem znajdą Aleraca. Zacięta, niesłabnąca walka, w której Aleracowie płacili polami, zbiorami, łąką, własnym domem. Zwycięstwo albo przegrana. Ah, jacy zawzięci są Aleracowie, nie ustąpią choćby mieli przegrać. A więc — mat.

Tak mniej więcej wygląda pierwsza część bois mort. Czego można oczekiwać od młodego Graewa, niezdolnego odróżnić podziwu od nienawiści? Czego spodziewać się po wychowance przytułku, Catherine, gotowej oddać mu rękę poto tylko, by zaspokoić swą żądzę władzy i przewagi nad Corolle. Nigdy już więcej: dziękuję, żadnej wdzięczności... — O ja, nie Corolle, nie ona, będę patrzeć na kwitnące krokusy... Czego oczekiwać? Chyba — wszystkiego. Tysiące możliwości tkwi w tych obojgu, bez porównania więcej, niż w Aleracach... Taksamo świeżo utworzony potok kryje znacznie więcej niespodzianek, niż uregulowana rzeka.

Ludzie, marzenia, bunty, upokorzenia ścierają się w milczeniu i zaciekłości. Przedziwny związek protestanckiej dociekliwej nieustępliwości, z nieodpartym powabem południowego temperamentu. Rzekłbyś: Kanada i Tropiki.

W tym stopie różnorodnych elementów tkwi bodaj największy urok Monique Saint - Helier. Od nikogo niezależna, tajemnicza, nie przenikniona prowadzi pod własną banderę barkę marzeń. Te marzenia zdają się mieć akurat, dwadzieścia niewiadomych wiosen. Bez Ojczyzny — chyba, że są nią ziemie Aleraców. Bez patriotyzmu, chyba, że to tradycja Aleraców. Bez śladu wpływów kultury francuskiej. Raczej można odnaleść wspólne akcenty z M. Ostenso, z Robert Francis, z R. Lehmann, tymi, którzy wkraczając na nowe tory, głoszą nowe literackie Credo. Chyba, że to wielki pakt młodości, domagającej się praw obywatelstwa dla własnych wierzeń. Ale i to nie tłumaczy wszystkiego. Gdyby było można przepisać Monice Saint - Helier, pokrewieństwo z przodkami Corolle. O: wtedy niejedno wyjaśniłoby się. Te Pepity, Inezy i Ingridy, te kreolki, mieszające w krew Francuzki żar południa i chłód północy tłumaczyłyby aż nadto dobrze, czemu przepisać kontrast posągowych niemal postaci i rozdzierających je namiętności. Sama autorka zdaje się nie zwracać na to uwagi. Podobna Corolle, szyjącej balową toaletę z wyblakłego brokatu, zbiera dary wróżek i mówi: Prawda, że to niezłe...

I zaskoczony, oszołomiony nieco czytelnik odpowiada: — Ależ, ależ to zachwycające!

I tak jest naprawdę.

---

*) MONIQUE SAINT-HELIER: Bois Mort.

# Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACYJ KSIĘGARSKICH

MARKS H. K.: Ja i miłość. Powieść. Przekład z ang. M. Rafałowicz - Radwanowej. 8° str. 283. Warszawa 1935. Księgarnia Popularna. Zł. 6.—.

MŁODNICKA W.: O szarej godzinie. Powiastki dla grzecznych i niegrzecznych dzieci. Ilustr. W Witwicki i J. Krajewski. 8° str. 142. Lwów 1934. B. Połoniecki. Kart. zł. 4.80.

OSTROWSKI J.: Polscy konkwistadorzy, z ilustr. 8° str. 96. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.10.

OUDARD G.: Powaby Rosji Sowieckiej. Przeł. A. Sozańska. 8° str. 231. Poznań 1935. Księg. Św. Wojciecha. Zł. 4.—.

PASŁAWSKI ST. KS.: Pokrzyżowane plany, z ilustr. 8° str. 303. Warszawa 1935. Kronika Rodzinna. Zł. 2.50, kart. zł. 3.50.

Polskie prawo patentowe. Rozporządzenie Prezyd. Rz. P. z d. 22 marca 1928 o ochronie wynalazków, wzorów i znaków towarowych. Opracowali dr. A. PONIKŁO i J. GUTOWSKI. 8° str. X i 395. Warszawa 1935. Gebethner i Wolff. Zł. 12.

SCHWARTZ J. dr.: Podręczny atlas fizycznego i psychicznego rozwoju młodzieży do użytku studiujących pedagogikę i nauczycieli. 8° str. 86. 71 tablic. Poznań 1934. Księgarnia Św. Wojciecha. Zł. 5.80.

SIERPIŃSKI W. dr. prof.: Przekroje. Wstęp do teorji liczb niewymiernych. 8° str. 32. Lwów 1934. Książnica - Atlas. Zł. 1.—.

SIKORSKI W. Wychowanie fizyczne w szkole powszechnej. Podręcznik dla nauczyciela. 8° str. 166. Poznań 1934. Księgarnia Św. Wojciecha. Zł. 3.30.

STASZEWSKI J.: Generał Józef Załuski. 8° str. 122. Poznań 1934. Księg. Św. Wojciecha. Zł. 4.—.

SZAWLEWSKI M.: Nowy świat. Traktat „Rzeczypospolitej Polskiej", 8° str. 205. Warszawa 1935. Ossolineum. Zł. 6.—.

SZELBURG - ZAREMBIANKA EWA.: Bursztynowy talizman. Opowiadania z czasów dzisiejszych, z ilustracjami. M. Wisznickiego. 8° str. 130. Lwów 1935. K. S. Jakubowski. Kart. zł. 3.—.

TARWID K.: Muchówki mieszkaniowe. 8° str. 39. Warszawa 1935. M. Arct. Zł. 0.80.

TUWIM J.: Polski słownik pijacki i antologia bachiczna. 8° str. 303. Warszawa 1935. „Rój". Zł. 12.—.

ZIELIŃSKI T.: Rzeczpospolita rzymska, z 16 tabl. ilustr. 8° str. 502. Warszawa 1935. Towarzystwo Wydawnicze. Zł. 18.—.

ZNAMIEROWSKI C.: Podstawowe pojęcia teorji prawa. Cz. I. Układ prawny i norma prawna. Wyd. 2-gie. 8° str. 224. Poznań 1934. Górski i Teitzlaw. Zł. 5.60.

ŻURAKOWSKA Z.: Jutro niedziela. Opowiadania. 8° str. 79. Warszawa 1935. Towarzystwo Wydawnicze. Zł. Kart. 2.00.

# S A T Y R A

## Przepowiednie na rok 1935

Gdy nadchodzi okres noworoczny, od wielu lat, we wszystkich pismach zagranicznych i krajowych zaczynają się ukazywać przepowiednie na rok przyszły najrozmaitszych wróżek, chiromantów, jasnowidzów i astrologów z całego świata. Nic więc dziwnego, że i my postanowiliśmy nie pozostawać w tyle za innymi i zebraliśmy w krótkim czasie najbardziej sensacyjne przepowiednie.

Spocządku udaliśmy się do Grudziądza, gdzie jak wiadomo zamieszkuje słynny astrolog p. January Boboniecki.

— Mistrzu! — zwróciliśmy się na wstępie. — Co wróżą gwiazdy na najbliższy rok kalendarzowy?

— Przedewszystkiem — odparł uczony — muszę oznajmić radosną nowinę. Ziemia już na początku roku wejdzie w znak B y k a...

— To znaczy — przerywamy, sprytnie się domyślając — będzie b y c z o!

— W istocie — padła ważka odpowiedź. — Pod każdym względem będzie lepiej. — Zadowoleni prosimy o dalsze szczegóły.

— Niestety — odrzekł uprzejmie astrolog — szczegółowszemi danemi nie mogę się podzielić, a to z tego względu, że jako urzędnik państwowy nie chciałbym się narażać. Mogę więc tylko podać obszerną przepowiednię pogody, jaka panować będzie w przyszłym roku.

— Trudno! — odpieramy. — W takim razie musimy się tem zadowolić. Prosimy dyktować.

Mistrz zamyślił się głęboko, wpatrzył się w szklaną kulę i zaczął powoli cedzić ważąc każde słówko.

— Na początku roku tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego panować będą chłody. Możliwe są nawet większe mrozy i opady śnieżne. O ile nawet w dolinach będą one skąpe, o tyle w górach zaznaczą się z wielką obfitością. Narciarzom zaręczam, że w lutym będą mieli w Tatrach doskonałe warunki śnieżne. W następnych miesiącach zacznie się niewątpliwie stopniowo ocieplać. Ustaną mrozy, dni będą dłuższe, słońce coraz częściej będzie przygrzewać. W środku roku zapanuje prawdziwe ciepło, niewykluczone są upały. Przewiduję w tym okresie przejściowe opady deszczowe. Jednak pogoda nie będzie się utrzymywać długo. Zwolna, w ciągu następnych miesięcy temperatura pocznie stale opadać, a opady się wzmogą. Wreszcie, przy końcu roku, zapanują spowrotem chłody, przyczem niewykluczone mrozy.

Dziękując za cenną prognozę, opuściliśmy słynnego mistrza, udając się do Paryża, aby odwiedzić tam wszechświatowej sławy wróżkę Eugenie Chaley.

Wróżka ta słynna z tego, że przepowiedziała na grudzień 1934 śmierć w angielskiej rodzinie królewskiej, na sierpień tego roku rewolucję we Farncji, na 18 marca 1929-go roku — wybuch nowej wojny europejskiej, a na listopad 1933 r. — urodziny następcy tronu w Polsce — przyjęła nas nadwyraz gościnnie.

— Czy nie chciałaby pani nas poinformowac, Madame — zapytaliśmy się uprzejmie — o losach, jakie czekają w tym roku Warszawę, Varsovie?

— Varsovie? Varsovie? A tak... slyszałam! — rzekła Madame Chaley i rozłożywszy talję kart, ciągnęła dalej.

— Ho, ho! Król pik! Za parę dni będzie list od bruneta. Ale nie należy się go słuchać. Bo miłości wart jest naprawdę, walet karo, szatyn! Ale to późniejsza sprawa. Bo niedługo nastąpi choroba. Ból zębów...

— Jakto ból zębów?... — przerywamy zdumieni. — Przecież Varsovie...

— Ból zębów, to jeszcze nic takiego, gorzej będzie później. Bo wiem w rodzinie nastąpi złamanie nogi. Kto wie, czy to nie jej rodzona matka...

— Jakto matka?... Matka Varsovie...

— Proszę mnie nie oszukiwać. Wiem dobrze z kabały, że matka Varsovie wcale nie umarła. Jej siostra niedawno przechodziła operację ślepej kiszki. Varsovie jest szesnastoletnią blondynką, nie mieszka w Paryżu, zaraz... zaraz, gdzież ona mieszka?... Chyba w... bo ja wiem?... Chyba w Bordeaux!

— Tak, tak, zgadza się! — mówimy szybko — w Bordeaux! No to już wszystko, co chcielibyśmy wiedzieć.

I nieco speszeni szybko wychodzimy od wszechświatowej sławy, która miała nieco obrażoną minę...

Zrezygnowawszy z zagranicznych przepowiedni wracamy do Warszawy. Udajemy się do słynnego Szyllera - Szkolnika. Mieszka on teraz skromnie, narzeka na brak powodzenia. Dawniej bywało inaczej. A teraz na „Dziady" zeszedł nietylko Szyller, ale także i Szyller - Szkolnik. Wogóle ci teatralni Szyllerowie mają jakoś większe szczęście od naszego wieszczbiarza. Ale wracajmy do rzeczy.

— Pokaz mi swój paszport, a powiem ci kim jesteś! — tyka nas znakomity cihromanta. Pokazujemy dokument na nazwisko Mirjama.

— Ten pan musi być znakomitym oratorem — mówi polski Pyffelo. — Jeszcze wiele laurów czeka go na tem polu. Nieraz będzie występował publicznie z przemowami, ponawiając zawsze dotychczasowe sukcesy. W tym roku będzie miał proces.

— A czy wreszcie wyda?... — pytamy.

— O tak! — przerywa nam jasnowidz. — Wyda dobrych kilkaset złotych na przeprowadzenie procesu.

Dziękujemy za przepowiednie i udajemy się do domu. Tam dochodzimy do wniosku, że właściwie sami potrafimy również zabawić się w przepowiednie na rok przyszły. Poprostu przepowiedzieć, jakie będą przepowiednie. I jak będą one wyglądały w poszczególnych organach naszej prasy. A więc ogłaszamy nasze horoskopy, co do formy, w jakiej różne dzienniki ogłoszą tegoroczne przepowiednie słynnej wróżki paryskiej Madame Fraya.

### GAZETA POLSKA:

„Słynna wróżka paryska Madame Fraya, znana z tego, że pierwsza przepowiedziała marsz szlakiem kadrówki i uchwalanie nowej konstytucji w Polsce, ogłosiła w tym roku swoje przepowiednie na nowy rok kalendarzowy. W odniesieniu do Polski, znakomita chiromantka twierdzi, że w roku 1935-tym nastąpi dalsze utrwalenie się pomajowego systemu rządzenia. Wybory przeprowadzone na jesieni dadzą przygniatającą większość naszemu obozowi, który jedynie zdolny jest do wyprowadzenia Polski z okresu kryzysu. Zarysuje się dalsze rozbicie partyjnictwa i warcholstwa opozycyjnego".

### ROBOTNIK:

„Słynna wróżka paryska Madame Fraya, znana z tego, że pierwsza przepowiedziała zwycięstwo Labour - Party w Angiji i przyznanie pokojowej nagrody Nobla tow. Hendersonowi, ogłosiła i w tym roku swoje przepowiednie na nowy rok kalendarzowy. W odniesieniu do Polski, znakomita chiromantka twierdzi, że w roku 1935-ym nastąpi całkowite opamiętanie się szerokich warstw ludności. Wybory przeprowadzone na jesieni dadzą przygniatającą większość przedstawicieli ludności wiejskiej i robotniczej. Rząd robotniczo-włościański będzie jedynie zdolny do wyprowadzenia Polski z okresu kryzysu. Zarysuje dalsze rozbicie zlepku zwanego sanacją".

### GAZETA WARSZAWSKA

„Słynna wróżka paryska Madame Fraya, znana z tego, że pierwsza przepowiedziała zaślubiny gen. Hallera z Polskiem Morzem i Cud nad Wisłą, ogłosiła i w tym roku swoje przepowiednie na nowy rok kalendarzowy. W odniesieniu do Polski, znakomita chiromantka twierdzi, że w roku 1935-ym nastąpi całkowite opamiętanie się szerokich warstw ludności. Wybory przeprowadzone na jesieni, dadzą, o ile nie nastąpi „Cud nad urną", przygniatającą większość Stronnictwu Narodowemu, które jedynie jest zdolne do wyprowadzenia Polski z okresu kryzysu. Zarysuje się dalsze rozbicie sanacji i anonimowego mocarstwa żydowsko-masońskiego".

### DOBRY WIECZÓR: O CZEM BAJA PANI FRAYA?!

„Słynna wróżka paryska Madame Fraya, znana z tego, że pierwsza przepowiedziała proces Gorgonowej i sprawę Maliszów, ogłosiła i w tym roku, swoje przepowiednie na nowy rok kalendarzowy. W odniesieniu do Polski, znakomita chiromantka twierdzi że w roku 1935-ym pojawi się w Warszawie wampir, który zakasuje wszystko, co ostatnio w tej dziedzinie się wydarzyło. Po szeregu bestjalskich zbrodni, potwór, przytrzymany wreszcie przez policję, zdoła umknąć i długi czas jeszcze napastować będzie w biały dzień samotne kobiety. Piękne warszawianki strzeżcie się!!!".

### KURJER WARSZAWSKI:

„Słynna wróżka paryska Madame Fraya, znana z tego, że pierwsza przepowiedziała zgon dyrektora Banku Kooperatywnego i prezesa wielu rad nadzorczych kopalń na Śląsku ś. p. Teodora Gombra, oraz tragiczną śmierć hr. Teńczyńskiego, ogłosiła i w tym roku swoje przepowiednie na nowy rok kalendarzowy. W odniesieniu do Polski, chiromantka twierdzi, że w roku 1935-ym w Warszawie nastąpi serja epidemij, zbiorowych zatruć i samobójstw, oraz morderstw w plutokracji stołecznej. Najwybitniejsi przedstawiciele naszej finansjery postradać mają życie".

Taki — a — taki.

## Warszawska kolenda




Rys. Z. Jurkowski.

„Porwawszy się biegli drogą
Gdzie widzieli jasność srogą"...

## Nowy rok w prasie

Nie ulega wątpliwości, że ubiegły rok 1934 był spod ciemnej gwiazdy. Pomijając już grubsze klęski i katastrofy, których było conicmiara, rok zeszły znaczył się dzień po dniu różnemi drobnemi paskudztwami, które razem wzięte i podsumowane, dadzą wynik ujemny i przykry do odcyfrowania.

Aby się o tem przekonać, wystarczy wziąć rocznik pierwszej lepszej gazety, z wyjątkiem pełnej optymizmu „Gazety Polskiej" i rzucić okiem na same tylko tytuły.

Oto niektóre z nich z ubiegłego roku:

1) Bezczelne zbiry w okolicach „Ursusa".

2) Szajka niedorostków gnębi Wilno.

3) Zrujnowani i bez pracy wracają polscy górnicy z Francji.

4) Walka z krwawym Maczugą. Towarzysz bandyty zabity.

5) Mord w Kołomyi okryty mgłą tajemnicy.

6) Zielona zjawa pod cmentarzem

7) Za obrazę rządu skazano czterech wyrostków.

8) Plugawy baron i trójka hultajska Rozenbergów.

9) Z rozpaczy rzuciła nożem w kochanka na klatce schodowej.

10) Córka katuje matkę, by przyśpieszyć jej zgon.

11) Za miljonową korupcję aresztowanie pana I. Oberlufta.

12) Zadusił żonę poduszką.

Ohydne! Co? Ale to było dawniej, to należy już wszystko do bezpowrotnej przeszłości.

Przecież ten Nowy Rok 1935-ty będzie lepszy pod wszystkiemi względami i ludzie będą znacznie lepsi.

Tego rodzaju tytuły więcej się nie ukażą na łamach prasy. Jesteśmy tego pewni, tak pewni, że daliśmy już do składania niektóre tytuły na rok przyszły — 1935-ty.

Oto one:

1) Wycieczka sympatycznych turystów w okolice „Ursusa".

2) Grupa polskiej młodzieży w darze dla Wilna.

3) Polscy górnicy z Francji nabywają grunty.

4) P. Maczuga, prezes B. R. i O. K., mianował swego towarzysza z lat dziecinnych swoim sekretarzem.

5) Urodziny w Kołomyi.

6) Różowa zjawa pod cmentarzem.

7) Młodzież w hołdzie dla rządu.

8) Chrzest barona i całej trójki znanej rodziny Rozenbergów.

9) Miłość na klatce schodowej.

10) Córka ratuje matkę z wiślanej toni.

11) Pielgrzymka p. Oberlufta do Ziemi Świętej.

12) Nowe praktyczne poduszki dla młodych małżonków.

Z. J.



Janusz Minkiewicz

## Aktualja

„Minuty sędziwego staruszka były policzone. Według programu za chwilę miał wejść Stary Rok i wprowadziwszy za rączkę gołego noworodka, czyli noworoczka, położyć się na wieki do trumny, wzorem swych tysiąc iluśtam szybko się starzejących poprzedników.

Tymczasem (naturalnie jak zwykle w takich opowieściach) stała się rzecz nieoczekiwana. Otworzyły się drzwi i, zamiast umierającego, wszedł szpakowaty pan we fraku, skłonił się i przemowił.

— Jestem profesor Woronow. Mam zaszczyt zawiadomić P. T. Świat, że przed chwilą na usilne prośby Starego Roku, zaaplikowałem mu mój słynny zastrzyk odmładzający. Zastrzyk zacznie działać punktualnie o godzinie dwunastej... Za pół minuty.

Zza drzwi wychylił się starzec z wyraźnemi śladami agonji. Wszystkie oczy przerzucały się gorączkowo z tragicznej postaci staruszka na sekundnik wielkiego zegara. Najmniejsza wskazówka dobiegała już do najwyższego swego punktu...

— Dwunasta! — krzyknęło parę głosów i nagle wszyscy znieruchomieli. Zegar nie uderzył. Wskazówki stanęły. Starzec wyprostował się i jakby drgnął na twarzy. Profesor Woronow uśmiechnął się tajemniczo.

Wtem najmniejsza wskazówka, ta od sekundnika, zachwiała się i poruszyła. Poruszyła się w odwrotnym kierunku. Nie zdołała przebiec jeszcze dwóch sekund, kiedy nastąpiło ogólne zamieszanie.

— Dwunasta! — krzynęło parę głosów. Wszystkie oczy przerzucały się gorączkowo z tragicznej postaci staruszka na sekundnik wielkiego zegara. Starzec z wyraźnemi śladami agonji cofnął się za drzwi. Wtedy przemówił profesor Woronow.

— Minuty poł za.... dwunastej godzinie o punktualnie działać zacznie zastrzyk. Odmładzający zastrzyk słynny mój mu zaaplikowałem Roku Starego prośby usilne na chwilą przed że Świat T. P. zawiadomić zaszczyt mam. Woronow profesor jestem.

Poczem ukłoniwszy się na powitanie, cofnął się tyłem i zniknął za drzwiami".

*

Tak mniej więcej wyobrażam sobie ziszczenie się mego marzenia o powrocie minionego czasu. Pewnej sekundy Stary Rok, przy pomocy Woronowa, zacznie młodnieć z tą samą szybkością, z jaką się starzał, a wraz z nim cały bieg życia ziemskiego zostanie wstrzymany i zawrócony spowrotem. Wszystko na ziemi zacznie dziać się jak na odwróconej taśmie filmowej. Ludzie będą się rodzić dorosłymi w miejscu swej śmierci. Urodziny będą następować nietylko w domach żałoby, lecz dajmy na to, w wypadkach samochodowych, podczas katastrof i kataklizmów. Ciekawe będą urodziny samobójców, a już specjalnie oryginalne porody nastąpią pod toporem kata, na szubienicy, lub na krześle elektrycznem.

Nikt nie będzie potrzebował wróżek i jasnowidzów. Wszyscy przypomną sobie dokładnie co czeka ich w najbliższej przyszłości, a właściwie przeszłości. Przejdą raz jeszcze przez wszystkie głupstwa, jakie narobili w ciągu roku, a gdy okres „odkręcania" się zakończy i życie pójdzie znów normalnym torem, każdy już będzie się starał unikać błędów, które popełnił za pierwszym nawrotem. W ten sposób można będzie przeżyć rok bez przykrych niespodzianek, bez kompromitacji, bez głośnych skandali, w spokojnej, beztroskiej nudzie.

A swoją drogą dobrzeby było, gdyby znalazł się naprawdę taki Woronow dla kończącego się roku. Taki rok na taki rok, jakim był ten 1934-ty rok! Zdaje się, że na świecie każdy człowiek, każdy kraj chciałby zanulować wiele faktów, jakie zaszły w tym roku i przeżyć go jeszcze raz rozsądniej, przyjemniej.

Żeby wyliczyć korowód tych opłakanych faktów, aktów, paktów i t. p. historyj, jakie się w tym roku niepotrzebnie wydarzyły, trzebaby było zacytować całą historję wydarzeń wszystkich dni 1934-go roku. Nie mówmy przeto o tem, co zaszło u nas, nie mówmy o konstytucji, o polityce zagranicznej, o polityce wewnętrznej, o historjach żyrardowskich i o wielu innych historjach.

A gdyby ten rok powtórzył się raz jeszcze, jakżeby łatwo było wszystko naprawić! O konstytucję zapytanoby się odrazu kogo trzeba, i z Francją dałoby się jakoś wszystko załatwić i... lecz co tu gadać? Co się stało, nie ostanie!

Ale czekajmy na Sylwestra. Może się właśnie odstanie?

Very

## Biała człowiek
### Reportaż starej Kwake z Europy

...biała człowiek głupia bardzo. Przychodzić mnóstwo - mnóstwo i płacić money, żeby oglądać Kwake. Kwake myśleć „Kwake wielka Coś", Kwake mówić jeden biała człowiek: „Kwake wielka coś? Biała człowiek kupić Kwake". Biała człowiek kręcić głową, co być jego i mówić „Kwake głupia". Nie chcieć kupić. Biała człowiek płacić money, żeby patrzeć głupia? Biała człowiek głupia mnóstwo zabardzo.

...Kwake chodzić mnóstwo-mnóstwo miasto biała człowiek. Wielka wóz chodzić około co być tramwaj. Biała człowiek jeździć tramwaj, Kwake siadać tramwaj. Przyjść biała człowiek i krzyczeć „Money". Kwake być wielki strach, Kwake myśleć „Biała człowiek być rozbójnik". Kwake dać money, bardzo wielka money. Biała rozbójnik brać sobie kawałek money, reszta dawać Kwake. Biała człowiek głupia bardzo.

...Biała człowiek trzymać bungalow, co być jego. Bungalow trzymać czarna zwierz, co mieć trzy nogi. Biała człowiek kai-kai, czarna zwierz nic. Czarna zwierz być głodna mnóstwo zabardzo. Biała człowiek kończyć kai-kai, biała Mary siadać zwierz i otwierać pysk, co być jego. Kwake patrzeć, Kwake skóra być jak tarka, Kwake myśleć: „Czarna zwierz zeżreć biała Mary szybko-szybko". Biała Mary tłuc czarna zwierz w zęby, co być mnóstwo biała zęby i mnóstwo czarna zęby. Zwierz ryczeć głośno bardzo (widać być głodna bardzo), biała Mary mu dać jeść papier. Biała człowiek głupia bardzo. Trzymać zwierz? Nie dać jeść? Bić po zęby głodna zwierz, aż ryczeć, dom się trząść? Głupia bardzo.

...biała człowiek ciągle gadać mnóstwo - mnóstwo. Biała człowiek ciągle szukać druga człowiek, żeby gadać. Jak nie móc znaleźć druga biała człowiek, żeby móc gadać mnóstwo mnóstwo, biała człowiek kręcić się bardzo chodzić około. Biała człowiek nie móc wytrzymać nie gadać. Biała człowiek lecieć ściana, co być trąbka i gadać trąbka. Biała człowiek płacić money. Kwake myśleć: „Jeden businnessman stawiać trąbka, żeby biała człowiek móc gadać. Nie płacić, nie móc gadać". Kwake chodzić około patrzeć pilnie bardzo. Nikt trąbka nie pilnować. Bisunessman głupia być. Kwake chodzić trąbka gadać, aż gardło sucha być i nie nie płacić. A biała człowiek płacić. Biała człowiek głupia bardzo.

Very.